



Pociąg wtoczył się na stację Amritsar jakoś po północy. Byliśmy wymęczeni, skołowani kilku dodatkowymi godzinami spędzonymi w drodze i niespodziankami typu wiewiórki w wagonach. Rude, z takimi łysymi, długimi ogonkami. Ale w końcu dotarliśmy hotelu „56”. Po stromych schodach, z ciężkimi plecakami, brudni i spoceni wtoczyliśmy się do recepcji. Do tego momentu nastroje dopisywały. Liczyliśmy na szybki prysznic i błogi sen w wygodnym łóżku. Kumar z Grace zaczęli rozplanowywać kto w jakim pokoju, a ja, na prośbę gościa z hotelu, zbierałam paszporty. Liczyłam je raz... 18. Liczę drugi raz - tyle samo. Brakuje jednego. Wołam: Kto nie dał paszportu?! I wtedy zauważyłam przerażenie w oczach jednego wyprawowicza.

- Nie mam paszportu - usłyszałam.
- Jak nie masz?
- No nie mam. Sprawdzę bagaż podręczny...

Sprawdził. Przeszukał też duży plecak. Paszportu nie było. Zaczęła się nerwówka, bo po Amritsarze czekał nas lot do Kaszmiru, a żeby lecieć potrzebny zwykle jest paszport. No więc myśleliśmy co zrobimy jeśli chłopaka nie wpuszczą na pokład. Do trzeciej gadaliśmy, szukając jakiegoś rozwiązania. Kumar dzwonił do Waranasi, zakładając, że może dokument został właśnie tam, w hotelu. Ale nie. Kamień w wodę. W końcu poszliśmy spać, ale nie śniliśmy kolorowo. Następnego dnia poszliśmy poznać Amritsar. Byliśmy akurat w Jallianwala Bagh pięknym ogrodzie, upamiętniającym masakrę z 1919 roku, kiedy zadzwonił telefon. Do Kumara zadzwonił nasz znajomy Shiva z Waranasi i podpowiedział rozwiązanie problemu paszportowego, w rezultacie ja zostałam z młodymi w centrum, zaś Kumar, Grace i borok od zguby poszli na policję zgłosić zaginięcie dokumentu. To wszystko trwało, a z nieba lał się żar. Szukaliśmy desperacko cienia i wypiliśmy hektolitry wody zanim nasi wrócili z posterunku policji z kopią raportu sprawy i nadzieją, że z tym papierem i legitymacją ISIC wewnętrznymi liniami dotrzemy do Kaszmiru. Tymczasem wróciliśmy do zwiedzania, tym chętniej, że stanęliśmy wreszcie u wejścia na teren Złotej Świątyni - zapierającej dech zarówno za dnia jaki i wieczorem. Oczywiście podejść do wejścia było kilka, bo ciągle coś nie pasowało w naszych strojach pilnującym porządku Sikhom - krótkie spodnie panów, osłonięte ramiona dziewczyn czy rozchyłająca się nieskromnie chusta przewiązana w pasie, która miała zasłonić kończyny dolne.

W końcu weszliśmy, bo kobitki pozasłaniały wszystko, co się dało, zawiązały chusteczki na głowy, a panowie wypożyczyli gustowne długie galoty. Obchodząc sadzawkę, pośrodku której stoi cud ze złota, zrobiliśmy miliony zdjęć, a i weszliśmy na Guru Kalangkar, gdzie wszyscy pielgrzymi podejmowani są jadłem. Skubnęliśmy co nieco i my, zerknęliśmy do olbrzymiej kuchni jak ten posiłek dla tysięcy jest przygotowywany, a potem wróciliśmy do hotelu, by zostawić zbędne rzeczy i pojechać na Attari Road obejrzeć przedziwne widowisko zamknięcia granicy Indie - Pakistan. Nie bez przyczyny użyłam słowa „widowisko”... na specjalnie wybudowanych trybunach zasiada kilkadziesiąt tysięcy ludzi dziennie - z parasolkami w barwach narodowych Indii w rękach, w koszulkach z flagą Indii i indyjskimi barwami wymalowanymi na twarzach. Całość show prowadzi umundurowany „wodzirej”, który wprowadza przedstawicieli kolejnych formacji wojskowych, zachęca tłum to oklasków i wykrzykiwania haseł głoszących wielkość Indii. Żołnierze maszerują w stronę bramy dzielącej kraje, podkreślając wąsy, wymachując pięściami i prężąc mięśnie. A jak maszerują!



Tak wysoko podnoszą nogi, że co i raz uderzają piszczelami w ozdobne jak koguci grzebień nakrycia głowy. Po drugiej stronie granicy jest skromniej, ale podobnie. Natomiast tuż przed rozpoczęciem się demonstracji wojska, w akcję wkraczają... KOBIECY (chętne oczywiście), które biegną z flagami Indii w stronę wcześniej wspomnianej bramy i machają nimi przed nosami Pakistańczyków. A po tych sprintach jest DYSKOTEKA pełną gębą. Bawią się, jasna sprawa, tylko dziewczyny, ale za to jak! Faceci na trybunach mogą pomarzyć i pozazdrościć. Ja i Grace, znają przebieg widowiska, wcisnęliśmy się na początek kolejki chętnych do biegania z flagą i otworzyliśmy imprezę. A potem z wyprawowiczkami tańczyliśmy w palącym słońcu. Miny chłopaków oglądających ceremonię zamknięcia granicy i nas tańczące z kolorowo ubranymi Induskami - bezcenne. Łukasz zwany Szotem po wszystkim wysapał tylko „Myślałem, że nic mnie już nie zaskoczy, a tu Pani leci...”.

Po powrocie z granicy zjedliśmy kolację i po raz drugi poszliśmy do Złotej Świątyni. Tym razem po to, by zobaczyć ją pięknie oświetloną po zmroku i wejść do środka, gdzie przez cały dzień aż do późnych godzin wieczornych przechowywana jest Pani Księga, czyli święta księga sikhów zwana Sri Guru Granth Sahib.

A rano rikszami pojechaliśmy na lotnisko w Amritsarze, by kilkadziesiąt minut później wylądować w Kaszmirze. Jako wyprawowy skryba czuję się w obowiązku poinformować zainteresowanych, że przez kilka następnych dni nie będzie kolejnych relacji z wyprawy I nie dlatego, że „nuda Panie” i nic się nie dzieje, ale zwyczajnie... wjeżdżamy w obszar, w którym nie działają nawet nasze indyjskie karty i nie ma zasięgu.